

Wesele Wiesiołka



ELIZA ORZESZKOWA

Wesele Wiesiołka

BAJKA

Kotlina wśród pagórków, obrosłych sośninką cienką i rzadką, mająca jeden tylko otwór na świat, niby bramę, przez którą widać pole, drogę polną i skłon nieba mętny w oddaleniu. Dokoluteńka ściany pogieęte w zęby, garby i okryte szczotką pni iglastych, z liściastą wzorzystą podszewką u spodu; na dnie łączka okrągła z trochą rozrzuconych drzew i krzewów, z mnóstwem traw i kwiatów. Kącik świata niezmiernie ukryty, cichy, skromny, ciasny... Trudno-by przypuścić, aby cokolwiek godnego uwagi dzieć się w nim mogło. Jednak działo się.

Noc była czerwcową, pogodną, głucha i ciemna; głucha, bo wszystkie wiatry i wietrzyki głęboko spały, ciemna, bo czerwiec, to nie sierpień, w którym nocne nieba płoną od niezmiernej ilości gwiazd niezmiernie wyiskrzonych. I teraz świeciły gwiazdy, lecz zrzadka rozsiane i blade połyskujące na sklepieniu prawie czarnem.

Jednak przy świetle tych gwiazd, jakby je przedrzeźniając, coś na łączce pobłyskuje także bladem złotem. Są to szeroko otwarte oczy Wiesiołka.

Wiesiołek to kwiat tylko, lecz nie byle jaki, samym nawet uczonym mężom zbliżka znany i przez nich obdarzony brzmieniem imieniem: *Oenoterus biennis*. Wszystko dokoła śpi, wszystkie rośliny dokoła pozamykały oczy, postulały korony, śpią nawet zioła i trawy drobne, przytulone do ziemi, usnęły, a on, Wiesiołek, jeden tylko pośród rodu swego, jak zwykle, jest bezsennym. Zwykle, jak noce letnie długie, tak oczy jego, z łodygi tak wysokiej, że wszystkie otaczające wzrostem przenosi, patrzą w ciemność niestrudzone, szeroko rozwarłe, duże, liczne. Dla tej — to właściwości jedni z pomiędzy pospólstwa dają mu nazwę Świcy nocnej, a inni Wiesiołka, tę drugą z tego zapewne powodu, że na czarny płaszcz nocy jasne oczy jego składają krople złotej wesołości.

Dziś, bezsenny zazwyczaj Wiesiołek mniej niż kiedykolwiek mógł i chciał usnąć; owszem, z całej siły nerwów, przebiegających jego lancetowate liście, dziękował matce naturze za dar bezsenności, albowiem spędzał noc rozkoszną, noc zachwyty i rojeń przedślubnych. Gdy tylko ciemności nocne ustąpią przed światłem dziennym, o samym wschodzie słońca, w minucie rozwijania się skrzydeł motyli i przetapiania się kropel rosy w brylanty, odbędzie się jego ślub i wesele.

Ślub? Z kim? Któż z piękności łąkowych wyborem swym uszczęśliwił ten, kogo natura obdarzyła wzrostem najwyższym i wielką ilością dużych, jasnych, wieczne czuwających oczu? O! nie uczynił on złego wyboru i nie zamierzał uczynić mezaliansu. Przed kilku dniami, gdy jasne oczy jego, w pęki stulone, z za jednego zaledwie odchylającego się płatka na świat spojrzały, ujrzał naprzeciw siebie o kilka kroków stojącą i tak, jak on, zaledwie poczynającą oczy na świat otwierać, Malwę Alceę, córę możnego i szeroko rozrodzonego rodu Słazów. Ujrzał i wnet uczuł, że w łodydze, od stóp do wierzchołka, sole sodowe i potasowe, magnezowe i wapienne szybciej niż zwykle krążyć mu zaczynają, a albumin ścina się tak, jakby go kto w gorącej wodzie pogrążył. Trochę jeszcze, a byłby uwiądl ze wzruszenia, które sprawiła mu ujrzana piękność, i uratowało to tylko, że wzruszenie, jakkolwiek wstrząsające przez nagłe powiększenie mu w organizmie ilości cukru gronowego, stało się bardzo słodkiem.

Wzrostem Wiesiołkowi prawie równa, tak jak on wysoka i kształtna, Malwa Alcea, z za cienkich liści, którym głębokie wcięcia nadawały delikatność prawdziwie arystokratyczną, wzajem patrzyła na Wiesiołka mnóstwem oczu, tak, jak i u niego, jeszcze w pęk

stulonych, lecz już obiecujących, że będą wkrótce bardzo różowe. Tak jak i on, z ciekawości i zachwycenia odwinęła po jednym płatku u każdego oka i oboje z za tych uchylonych płatków patrzyli na siebie w blasku słońca, z liśćmi zlekka potrącanymi przez Wietrzyki, dzierzące w państwie tem urzędy swatów i mistrzów ceremonii na wszelkich uroczystościach weselnych. Byli-by najpewniej pobrali się już wtedy, w tym pierwszym momencie poznania, gdyby nie to, że matka natura pozwolenia swego odmówiła i na dojscie do pełnoletności oblubieńców obojgu czekać rozkazała. Pora ta wczoraj nareszcie nadeszła i przed końcem dnia, gdy słońce, skłaniające się ku zachodowi, ukośne światła kładło w lesie na trzmieliny, leszczyny, paprocie i uścielające ziemię suche igły sosnowe, kukulka w sposób szczególny i powszechną uwagę zwracający uwijać się zaczęła. Ptak to jest zazwyczaj ruchliwy i gadatliwy, ale wczoraj tak się niespokojnie zachowywała, tak jej wszędzie było pełno, tak fruującymi skrzydłami wszystkie gałęzie drzew i krzewów potrącała, że w gałęziach siedzące i już potrosze do snu zabierające się szczygły, czyże, czeczotki, kosy wilgi i inne drobne ptaki, poczęły obracać główki za tą wielką a płochą siostrą, ciekawe, co z tego będzie i jaką też nowinę wnet od niej usłyszą; bo że ona właśnie przynosiła tu i ogłaszała wieści o wszystkich ważnych wypadkach, w okolicy zachodzących, o tem wiadomo było powszechnie. Był to jej urząd, który pełniła z zamiłowaniem i odpowiednimi przymiotami głosu i temperamentu. Teraz także, dostatecznie już dla zwrócenia uwagi publicznej nalatawszy się po drzewach i krzakach, na wysokiej gałęzi zawisła i jak tylko mogła najdoñośniej wołać zaczęła:

— Ku-ku! Kuku!

A potem zaśmiała się tak, że aż zaniosła się od śmiechu.

Wtedy na gałęziach różnych, wyżej i niżej, mnóstwo ptasich główek dzióbkami zwróciło się ku sobie i zaświergotało:

— Co? co? co? kto? kto? ci? ci? ciii? fiu! fiuuu!

Zrozumieli. Kukulka ogłaszała na jutrzejszy ranek zabawę weselną, dla której trzeba było orkiestry, orkiestry licznej, hucznej, która-by zagrzmiała w sam moment ślubu, w samą tę chwilę, gdy złote czoło słońca wychyli się z za różowej jutrzeńki.

— Orkiestra na jutro — wołała kukulka — orkiestra na brzeg lasu, nad sam skraj łąki, gdy tylko motyle się obudzą i rosa zamieni się w brylanty!

Mali muzykanci w zielonych igłach i liściach główkami kręcili i dzióbkami na znak chętnego zgodzenia się wstrząsali.

— Owszem! Owszem! czemuż-by nie? z ochotą! Szkoda tylko, że głównego grajka pośród nas niema! Słowik oniemiał. Gdyby trochę wcześniej, onby to najtkliwiej i najdoñośniej pieśń weselną zawiódł. Lecz i bez niego Epitalamium ułożymy! Podołamy! Zrobi się, co będzie można!

Gdy taka umowa zawiera się pomiędzy ptakami, motyl, wielki, ciężki motyl, który u złotej głowy Starca Jakóbka (w mowie uczonej Senecio Jakobe'a zwanego) uczepony, już skrzydła ciemne i purpurą ucentkowane do snu zwiąć zaczął, rozprostował je i uniośł się z nad Starca i z chwilową zadumą w powietrzu zawisnął. Chwilę tylko dumał, poczem, jakkolwiek głowę w stosunku do skrzydeł miał bardzo małą, zrozumiał, o co idzie, i lotem powolnym, poziomym, nad samą prawie ziemią popłynął. Zaledwie nad kawałkiem ziemi suchymi igłami okrytym przepłynął, z krzaków różnych, z ziół wysokich, z sęków gałęzi suchych, ze ździebeł mchu siwego, zerwała się i otoczyła go cała gromada motyli mniejszych, lżejszych, żółtawych i błękitnych, liliowych, białych.

Zleciały się dokoła wodza i przez chwilę krążyły w powietrzu skrzydłami potrącając się nawzajem i wąsikami wprost jeden drugiego w oczy tajemnicze ruchy jakieś wykonywując, co jednak wszystko niedługo trwało; rychło bowiem motyle dowiedziały się, co będzie, a gdy się o tem dowiedziały, wiedziały już, co im czynić wypadnie, i jakby je wiatr rozgonił, tak pierzchyły na wszystkie strony i w różnych zakątkach, ukryciach poznikały. A wódz, wielki motyl z purpurowymi kroplami na skrzydłach, do Starca Jakóbka powrócił, u złotej jego głowy zawisł, skrzydła prostopadle podniósł, lecz długo ich do snu nie stulał. Myślał o zadaniu, które jutro spełnić mu przyjdzie, nie lada jakim, przeciwnie, bardzo ważnem, rzec można, że w aktach zaślubin kwiatów z kwiatami najważniejszym.

Oto, gdy moment właściwy nadejdzie, on skrzydła swe w całej szerokości rozpuści, z całą właściwą mu powagą nad łączką powietrzem przepłynie, u oka pana młodego na sekundę zawiśnie i, z rżesy pocałunek mu zdjąwszy, na rżesie panny młodej go złoży. I ta

to właśnie czynność wielkiego motyla będzie pomiędzy nowożeńcami właściwym aktem ślubnym, on jeden dokonać jej ma prawo, bo udzielanie ślubów młodym parom stanowi w tym państwie jego urząd, tak, jak urzędem kukulki jest przynoszenie i ogłaszanie wieści o różnych zdarzeniach świata.

Lecz nie dość natem; za motylem wielkim, niby za wodzem, wyleci na łączkę rój motyli mniejszych: żółtawych, błękitnych, liliowatych, białych, i rozleciawszy się po łączce, roznosić zaczną pocałunki, z rzęs jednych gości weselnych zdejmowane i na rzęsy innych składane, tylko wcale różne od tamtego znaczenie posiadające, bo gdy tamten, wagi pełen, oznacza połączenie się dozgonne, te, lekkie i płochy, są tylko flirtem, zabawą, sposobem powiększania się w organizmach ilości cukru gronowego, więc zaprawienie ich słodyczą, znikomą wprawdzie, ale na razie przyjemną. Rzecz tę, trochę zawikłaną, w ten sposób jaśniej określić można, że wielki motyl daje oblubieńcom ślub, a małe motyle roznoszą pomiędzy gośćmi marcypany. Jakkolwiekby, motyle, dumając o robocie jutrzejszej, po zachodzie słońca jeszcze nie spały, wisząc z podniesionymi, lecz nie stulonymi skrzydłami u liści strzelin i leszczyn, u wysokich łądyg kwiatowych, u sęków gałęzi suchych, leżących na pościelach siwych i zielonych mchów.

Gdy tak działo się w lesie, nad łączką, niziuteńko, prawie przy samej ziemi, latały, uwiły się, kręciły na wsze strony, mistrze ceremonii dzisiejszej, Wietrzyki przedwieczorne. Gości na wesele zapraszały, zamawiały odpowiedny orszak służebny. Z zaprosinami kłopot był niemały. Krewnych, przyjaciół, znajomych mnóstwo, lecz nie wszyscy zarówno drodzy i dostojni. Więc kogo zaprosić do orszaku ślubnego, a kogo na ucztę weselną? Aby tylko kogo nie zaniedbać, nie obrazić, a z drugiej strony niepotrzebnie nie zaprosić, bo pospółstwa na łące mnóstwo i łatwo zdarzyć się może, że ktoś z gminu, ktoś nie dość dobrze urodzony i wychowany, niezgrabny łopian jaki naprzykład, brudny lulek, albo szorstki oset, do kompanii wyborowej i dystyngowanej wmieszać się może.

Tęgo zadania to już spełnić niepodobna, jak fatygi, sprytu i dyplomacyi nie żałując. Ale Wietrzykom w to tylko i graj! Im tylko uwijać się po świecie, szeptać, namawiać, rozłączać, łączyć! I w tym wypadku poradziły sobie wyśmienicie: pół godziny nie upłynęło, słońce jeszcze nie zaszło, a orszak ślubny i całe towarzystwo weselne już obmyślone i zaproszone zostało.

Więc naprzód drużki i drużbowie: dla panny młodej dwie najpiękniejsze po niej dziewice łąki: Przytulia biała, czyli Galium Mollugo, ród swój wiodąca od samych róż, a w garderobie swej posiadająca najpiękniejszą w świecie suknię z białych koronek, i Epilobia Grandiflora, z kibicią wysmukłą, gęsto natykaną gwiazdkami, cieniutko powycinanymi z ametystów. A drużbowie: jeden z kiścią kielichów amarantowych u wierzchołka, noszący pospolite imię Mieczyk, uczone zaś Gladiolus; drugi Bodziszek, czyli Geranium, bogacz wielki. Bogaczem był, bo gdy tylko do pełnoletności dosięgnął, matka natura osypała go taką ilością koron, tak liliowych, że zaćmił-by niemi najpewniej choćby najpiękniejszy z tych lilaków, które nie wiedzieć czemu powszechnie, choć błędnie, nazywają bzami. Do tych zaś dwóch par, u końca narady wietrzykowej, przybyła trzecia jeszcze, nie bardzo potrzebna, lecz przez względy dość ważne podyktowana. Na trzeciego drużbę Wietrzyki musiały zaprosić Posłonka. Zaden krewny, ani przyjaciel, nizkiego wzrostu, trochę krzywy i z jednym tylko okiem, dość ładnym wprawdzie, jak szafran żółtem, lecz tylko jednym. Cóż robić jednak, skoro, pomimo braki swoje, Posłonek jest, ni mniej, ni więcej, tylko — faworytem słońca, czego najlepszym dowodem to, że imię najpotężniejszego pana nosi: Helianthemum, od Helios, wyrazu, który w jakimś tam języku ludzkim oznacza słońce. Za cóż wysoki fawor ten spłynął na istotę dość mierną i niepozorną? O, jak bywa często, za pochlebstwo! Bo Posłonek posiada rzadki dar dworackiej zalotności i uniżoności. Zazwyczaj, o samym wschodzie wspaniałej gwiazdy dziennej, zaledwie otrząsnąwszy się ze snu, zwraca ku niej swoje jedyne, szafranowe oko, wytrzeszcza je tak, że czyni się ono zupełnie okrągłutkiem i płaskiem, wlepia je w samo oblicze słońca i potem już, jak dzień długi, za słońcem je obraca; gdzie ono płynie, tam i oko Posłonka się obraca: w południe, ku środkowi sklepienia, jak tacka płasko rozpostarte, wieczorem, ku zachodowi z wierzchołka łądygi podane. Dziw tylko, że w tych dworackich obrotach szyi sobie kiedykolwiek nie skręci! Gdzie tam! Prostuje się hardo i ma zwyczaj, z fanfaronadą wcale nie sympatyczną, krótkimi gałązkami brać się pod boki. Wie, że faworytem jest Pana nad Panami! Zaprosić go trzeba, i to na drużbę, bo mógł-by jeszcze intryg narobić

i biedę jaką, posuchę naprzykład, albo grad sprowadzić z tych szczytów, ku którym nieustannie oko zadziera! A skoro już ten pochlebca i fanfaron na družbę zaproszony, trzeba mu wybrać do pary družkę nie byle jaką, aby nie miał powodu przed tronem możnego protektora skarg zanosić. Będzie nią Calla Palustris, która na stronie stoi i z za kępy traw rozczochranych wychyla czarę szampańską z porcelany, białej, jak śnieg.

Na gości zaś zaproszenie otrzymało rodzin kilka zaledwie, lecz różnych i licznych, mianowicie: Koniczyny, Kosaćce, Myozotisy, czyli Niezapominajki i Przetaczniki, czyli Weroniki, we wszystkich liniach swego bardzo rozgałęzionego genealogicznego drzewa, jak oto: kłosowe, rolowe, macierzankowate, bobownikowe (beccabunga), lekarskie, łąkowe i t. d. Z łąkowemi było trochę kłopotu, oddawna już bowiem prowadziły z Myozotisami zacieklą konkurencyę o pięknosc oczu, które u Weronik łąkowych były większemi znacznie, a u Myozotisów posiadały błękit daleko czystszy, daleko więcej przypominający — niebo. Dowiedziawszy się tedy o zaszczycie, którego Myozotisy dostąpić miały, Weroniki łąkowe dość kwaśno zrazu zaproszenie przyjęły i, wymawiając się słabością zdrowia, przez tegoroczne chłody sprowadzoną, udziału swego w zabawie weselnej odmówiły. Lecz Wietrzyki filuty tak zaczęły wychwalać cudny szafir ich oczu, tak je (pod sekretem) nad oczy Myozotisowe wynosić, że zazdrośnice zmiękły i ostatecznie przyrzekły, że nietylko na weselu będą, ale nawet kobierzec ślubny pięknym arabeskiem, z szafirowych oczu ich ułożonym, przyozdobią.

Bo miał być i kobierzec ślubny, nawet wspaniały. W momencie umówionym, do stóp państwu młodym zaściele go Bluszczik ziemny, pospolicie Kurdybankiem zwany, a na puszystą zieloność jego wijących się po zieleni gałązek Powoje rzucą pęki kielichów białych i Groszki, jakoteż wyczki rozmaite, rozwiną szlaki różnobarwne, krętymi wąsikami urozmaicone. Nad tym zaś kobiercem, inni służebnicy, przez Wietrzyki zamówieni, wzniesć mają ornamenty rozmaite, jak oto: Drzączka, nosząca także drugie, oryginalnie brzmiące imię Brizy, wstrząsać będzie mnóstwem uczepionych do wierzchołka breloczków ślicznie wyrzeźbionych; Biedrzeniec i Marchew dzika (Pimpinella i Carotta), rozwiną setki białych jak mleko baldachów; Jaskry nakoniec gęsto pozapalają lampki, nalane nie oliwą wcale, ani tam żadną naftą, ale czystym złotem.

I jeszcze nie koniec przygotowań i świetności: w orszaku służebnym znaleźć się ma cały osobny oddział, kadzielniczym zwany, którego zadaniem będzie rozlewanie na całą łączkę, w pyszną salę balową przemienioną, woni, świeżych, jak niewinność pól i łąk, a łagodnie upajających, jak żadną trucizną nie sfalszowane wino. W tym fachu kadzielniczym najbieglejszemi tu były: prosta i skromna Tomka, zwana Wonną, dwie siostry Mięty, Silvestris i Arvensis, a także Macierzanka, która nie na łączce, lecz na stoku pagórka piaszczystego rosnąc, do poduszek ametystami natykanych podobna, zakaprysiła była zrazu i usług swych na wesele Wiesiołkowe ofiarować nie chciała.

— Nie chcę — powiada — nie będę kwiatom łąkowym kadzić! Czy to do mnie należy? Jam polna i leśna! Jak Chaber-Bławatek żenić się będzie z Ostróżką, Kozłek lekarski z Arniką, to wtedy...

Zamyśliły się Wietrzyki. Co tu robić? Czyliż sala balowa obejść się ma bez najsilniejszych i najmiłszych z perfum? Oho! znajdują one na te kaprysy sposób! Nie w ciemię je bito! Po chwili tedy rzekły:

— A czy przypadkiem nie życzyła-byś sobie, Macierzanko, zobaczyć wyrzucanych w powietrze rakiet puchowych?

— Rakiety puchowe! co to znaczy? Musi to być zapewne coś osobliwego? Niech Wietrzyki będą łaskawe wytłumaczyć!

Wytłumaczyły.

— Czy znacie Dmuchawce?

— Znamy! znamy! pospolite i brzydkie.

— Tylko nie teraz brzydkie. Od kilku już dni pozrzucały z głów swoje istotnie pospolite, brudno-żółte kwiaty, a otrzymały od Matki Natury duże kule prześliczne, przezrocyste, z niesłychanie lekkich puszków złożone. Matka Natura posiada mnóstwo klejnotów wspanialszych, jaskrawszych, lecz kunsztowniej i misterniej nad te kule wyrobionego nie posiada. Otóż, Macierzanko, jeżeli zgodzisz się kadzielnicę swe w chwili wiadomej jak najlepiej zakolysać, my, Wietrzyki, tak uczynić potrafimy, że w tejże samej chwili kule

Dmuchałkowe pękają, a puchy ich, miliardem kryształów w powietrze wystrzelisz, kobierzec ślubny niemi osypią.

Macierzanka-kapryśnica pomyślała trochę, potem rzekła:

— No, dobrze; skoro nam widowisko tak ciekawe wzamian za perfumy nasze ofiarujecie, to niech sobie już tak będzie: kadzielnice kołysać będziemy z całej siły. Tylko pamiętajcie! „Donnant, donnant!” Darmo nic! Niech rakiety będą piękne i niech ich będzie dużo.

— Ależ tysiące! — zawołały Wietrzyki i zadowolone odleciały.

Nakoniec wszystko się urządziło, załatwiło, przygotowało, zdawać się mogło, że jak najpiękniej, gdy naraz, po ostatecznym zniknięciu słońca za skrajem firmamentu, przy świetle tylko zorzy wieczornej, ognistą luną z za rzadkiej sośninki przeświecającej, wybuchnęła znowu sprzeczka, kłótnia, po prostu awantura. Jaskry zbiorowo oświadczyły, że lampek nie pozapalają. Zgodziły się zrazu zapalić, ale teraz, po rozmyśle, uznały, że w gronie służebnych, znajdować się, nie zaś gości, im, Ranunculusom sławnym i szeroko w świecie znanym, wstyd i hańba! Więc jeżeli na uroczystości znajdować się mają jako goście, to i owszem, ale jako służdy, to nie: za nic! lampki swoje trzymać będą szczerze zamknięte i nie odsłonią ich wcale, choćby nawet samo słońce rozkazało.

Bieda! Wietrzyki znowu w kłopot wpadły. Ci buntownicy, to przecież Jaskry pospolite, zupełnie pospolite, i w dodatku, zblizka spokrewnione z tym członkiem rodu, który stanowi ciężką jego hańbę i zgryzotę, mianowicie z Jaskrem jadowitym, z Jaskrem trucicielem, z Jaskrem, noszącym przydomek Łotr, po łacinie Sceleratus! Jest to jeden z najzłośliwszych, najszeptniejszych zbrodniarzy i szkodników roślinnego państwa. Wprost truciciel! I teraz oto stoi sobie na uboczu ten miły krewniaczek, cały żółty ze złości, porzdewiały od ciemnych zamiarów, zyzem patrzy na wszystko i rogate łodygi, jak krzywe palce, wyciąga ku Ostom, takimże jak on gburom, tylko znacznie od niego uczciwszym. Pewno tych kompanów do jakiego niecnego czynu namawia, a tymczasem żółć z rdzą zmieszana przez wszystkie oczy wylewa się mu na świat! Cóż to więc za dzika jest pretensya, pospolitakami będąc i takiego krewniaka w rodzie mając, do pierwszorzędných osób w towarzystwach należeć! Jednak niema rady! Złote lampki Jaskrów są bardzo potrzebne; więc wypada znowu fortelu i dyplomacyi użyć.

Wietrzyki tedy westchnęły:

— Szkoda! — rzekły — słyszeliśmy, jak białe motyle już układały sobie plan latania pomiędzy wami a Weroniczkami o szafirowych oczach... Po prostu, miały zamiar zaręczyć was z nimi jutro, a jeśliby z was który Weroniczki nie chciał, to z pomiędzy Myozotisów cudnych wybrać-by można narzeczoną...

Jaskry nagle popodnosiły głowy i zaszeptały:

— Weroniczki śliczne. Myozotisy zachwycające! Narzeczone... Zaręczyć się, czy nie zaręczyć, ale tymczasem flirt...

— Aha, flirt bardzo miły! — przerwały Wietrzyki; — tylko że wy mieć go nie będziecie! Na marcypany zasłużyć trzeba, a skoro nie zamierzacie zapalić swoich lampek, my ze swej strony powiemy motylom, aby was omijały.

— Ach, nie! Ach, nie! — zawołały Jaskry — prosimy, nie czyńcie tego, nie pozbawiajcie nas najśodszej z uciech! Już zapalimy wszyscyuteńkie, już najczystsze złotem nalejemy je i zapalimy, tylko bądźcie łaskawe...

— A widzicie! — z powagą rzekły Wietrzyki — nie trzeba nigdy unosić się próżnością, bo ścigając chlubę, łatwo rozminąć się ze szczęściem. Przebaczamy bunt niedorzeczny, na lampki wasze rachujemy i motylom ogłosimy łaskawą na was wolę naszą!

W ten sposób ostatni dnia tego spór załatwiwszy, Wietrzyki do snu układać się zaczęły, najmniejszej uwagi nie zwracając na złośliwą wciąż szeptaninę Jaskra-Sceleratusa z Ostami, ani na różne sarkania i szyderskie śmieszki, które gęsto odzywały się wśród pospółstwa, całkowicie od uroczystości jutrzejszej usuniętego, a złożonego z rodów takich, jak: Babki przysadziste, Łopiany niezgrabne, Bylice sztywne, Rdesty ptasie, których świat cały pełen, Ostromlecze, Szczawie, Lulki, Lebiody i t. d. Był to gmin. Szemrze dziś, tem i owem obrażony, a jutro na widok uroczystości oczy szeroko otwierać i wszystkie niezgrabne ręce do okłasku składać będzie! Wiadomo, plebs zazdroszczący patrycyuszom, a przy spotkaniu z nimi rozplywający się w miód i ciepłe mleko.

Zadowolone z dzieła swego, ale spracowane, Wietrzyki, przypadły do ziemi, pokładły się na trawach i, od razu mocno zasnąwszy, tak ucichły, jakby ich wcale na świecie nie było. Ale snu spokojnego, oprócz nich, nikt tej nocy nie doświadczył. Ptaki spały na jedno oko tylko, drugie co moment otwierając dla zobaczenia, czy już nie świta; wśród motyli odzywały się często szelesty skrzydełek, trzepocących się, bezsennych; a kwiaty... O, te chwiała czasem sennemi głowami, poruszały rękoma, czyli liśćmi, i okryte ciemnością wydawały westchnienia takie, jakimi wzbierają piersi, pełne pożądań i nadziei. Bo ileż nadziei... ale nie! ileż naprzód pracy, zachodów, narad, kłótni, zawiści, kłopotów, a potem, ileż nadziei na jutro! Jutro! O, przybywaj co prędzej dniu jutrzejszy, śliczny, kochany dniu muzyki, iluminacji, strojów świetnych, popisów błogich, pocałunków słodkich, dniu wesela, miłości i szczęścia — przybywaj!

Przybywał. Zbliżenie się jego oznajmiały naprzód blade mary, które zaczęły w ciemności przepływać i błędzić. Światło, nie światło, coś pośredniego pomiędzy czarnością a białością, włókna szarzyny, długie, rozczochrane, spuszczone się od nieba, pełzające w powietrzu, stojące pomiędzy drzewami, których kształty wśród nich słabo uwyrażniać się zaczęły, gdy tymczasem gwiazdy na niebie, przez nie zasłaniane, przygaszały i znikwały. Były to pierwsze, ciche, mdłe heroldy słońca, które wzrastały powoli, w miarę wzrastania coraz więcej przyświecały białością błękitną, która je otaczała, pochłaniała, aż pochłonęła zupełnie, a ziemia i powietrze stanęły w bladym, lecz przejrzystym i wszędzie jednostajnym świetle błękitnego świtu. Jak zakłęte w ciszę stało w tym świetle wszystko, co na ziemi rosło i żyło, tylko w górze, wysoko, panował milczący ruch cieniów, mgieł, mar, unoszących się coraz wyżej, wyżej, aż nakształt zwijanego powoli płaszcza zwinęły się do końca, zniknęły, i nad wzgórzami, łączką na dnie kotliny, stanęło sklepienie blade, lecz, jak skrzętnie wymieciona przestrzeń, czyste, bez najdrobniejszej iskiereczki gwiazd, ani pyłku mgły.

Wtedy obudziły się wietrzyki. Nic dziwnego, że obudziły się pierwsze, bo najlepiej spały, i jako mistrze ceremonii na uroczystości dzisiejszej, musiały czujnie porządku jej dopilnować. Ale zmęczone czy leniwe, wstały nie zaraz i, czas jakiś przewracając się na pościeli, poziewały. Jednego przecież ziewnięcia Wietrzykowego dość było do obudzenia panny młodej która zadrzała, liśćmi wstrząsała, głowę we śnie schyloną podniosła i naraz otworzyła szeroko różowe oczy. Tak z drżeniem i szybkim otwarciem się powiek budzą się zazwyczaj ci, w których dzień świtający godzi strzałą bólu, albo szczęścia. Malwę Alceę, budzącą się ze snu, przeszyla strzała radości, bo naprzeciw niej w pełnej swej krasie, wysoki i zgrabny, wszystkimi swymi jasnymi oczyma w nią wpatrzony, stał — Wiesiołek. Nie potrzebował on budzić się, bo nie usypiał wcale, lecz gdy Malwa się obudziła, jego lancetowate liście wionęły ku niej, a głowa, w ukłonie pełnym galanterii rycerskiej i tkliwej skłoniona, wyszeptała.

— Dzień dobry, o luba!

Malwa nie odpowiedziała nic, tylko rzęsy jej drgać zaczęły i liście, jak dłonie skromnie wzruszonej dziewicy, przytuliły się do siebie. Wzamian, z za niej ozwał się trochę chrapliwy od starości głos:

— Dzień dobry, kochany zięciu! Spodziewam się, że nie zawiedziesz nadziei moich i ani córki mi tyranizować, ani mnie do powiększenia grona tak zwanych złych teściowych zmuszać nie będziesz!

Mówiła to matka panny młodej, podziła, bo dwuletnia Ślázówka, z figurą przysadzistą i spłowiałymi oczyma, które ledwie gdzieniegdzie zdobyły jeszcze jej zgrubiałe członki.

— Dzień dobry, duszko! — dźwięcznymi, bo młodymi głosikami zagadały do panny młodej družki: Epilobia Grandiflora i Przytulia Gallium. Jakże spałaś w tę noc przedślubną? Pewno niezbyt dobrze, bo oczy masz pobladłe i cerę nieświeżą.

Kłamały. Narzeczona wyglądała bardzo świeżo i uroczo, a tylko one, ciesząc się ze szczęścia jej na pozór, a w głębi łodyg go zazdroszcząc, zmartwić lub onieśmielić ją pragnęły.

Družbowie szersi byli, serdeczniejsi od družek, nie bolało ich szczęście przyjaciela, może dlatego, że sami sobie mieli go prawo i możność sprawić tyle, ile się tylko podobało. Więc Mieczyk Gladiolus, amarantowe dzwonki przykładając do samej głowy Wiesiołka, szeptał mu słowa miłych nadziei i zachęt, a Bodziszek-Geranium całem niezliczonym

mnóstwem liliowych koron śmiał się wesoło, uradowany świętem towarzysza, a na swoją rękę zalotnie mrugając ku Przytulii, która pyszną suknię swą z białych koronek rozpościerała tak szeroko, że tren jej opadał daleko na trawy i malowniczymi festonami dotykał sąsiednich Koniczyn, Weronik i Myozotisów. Dotknięciem tem obudzone, zakolysały się i zaszeptały:

— Czy już? Czy już dzień? Czy prędko ślub? Czy słońce wschodzi?

Na odpowiedź rozległ się po łączce szumiący wykrzyk Wietrzyków:

— Jutrzenka! Jutrzenka! Jutrzenka!

Zerwały się nakoniec z pościeli leniuchy, wzbily się nad łąkę, zakręciły się i zaszemrały:

— Wstawajcie! Ubierajcie się! Gotujcie się każdy do swego! Prędeż! prędeż! nie marudzić, bo oto już Jutrzenka! Jutrzenka! Jutrzenka!

Z tym szmerem, z powiewami świeżymi jak poranek letni, zwinnie wyleciały w las, gdzie też wnet dały się słyszeć szelesty poruszających się gałęzi, furczenie budzących się skrzydeł i krótkie, senne jeszcze, ćwierkanie mnóstwa głosików.

— Co? co? co? czy... czy... czy... czy już dzień? Oho-ho! jak jasno na świecie! jasno! jasno! Fiu! fiu! fiu! jakeśmy zaspali... zaspali... zaspali... li... li... Wsta-ta-ta-wajmy! Wsta-ta-ta-ta-wajmy!

Tam, kędy rozstępowały się pagórki, tworząc bramę otwartą na pole, drogę polną i daleki, daleki skłon nieba, na skłonie nieba bladym i czystym powstaje pręga różowa, zrazu wązka i blada, potem rozszerzająca się i nabierająca rumieńca, jakby zdjęta z oblicza róż. Można-by mniemać, że niewidzialny istniał kędyś piec, który skraplał róże i płynem tym nalewał tę drugą po świecie głosicielkę zbliżającego się Słońca, wiecznie świeżą i zarumienioną, pięciopalczystą boginię, Aurorę-Jutrzenkę. Teraz nie wyciągała jeszcze palców, tylko wzrastała i nasiąkała różami roztopionymi, cicha i świetna, jak o nieśmiertelności swej upewnione zwycięstwo dnia nad nocą. Skłon nieba coraz szerzej okrywając, wydawała się kładzioną na czole budzącej się do życia ziemi coraz różowszą glorią zwycięstwa.

Ruch i gwar życia napełniał teraz dno kotliny, łączkę pośród pagórków, obrosłych rzadką sośniną. Na skraju sośniny, wyżej, niżej, w drzewach, w krzakach, pobłyskiwało mnóstwo par drobnych oczu ptasich, mnóstwo główek pierzastych obracało się na wszystkie strony i mnóstwo ruchliwych dziobków wydawało dźwięki krótkie, na wszystkie tony powtarzane, zupełnie podobne do próbowania i nastrajania wielu naraz instrumentów muzycznych. Bo też i było to próbowanie, nastrajanie orkiestry leśnej do wspańskiego epitalamium, którym wnet, wnet zagrzmieć miała. U samego wierzchołka lasu rozległo się wkrótce bardzo głośne i tryumfalne wołanie Kukułki:

— Idzie! idzie! już blisko! już blisko!

I z wielkiej radości zaśmiała się jak szalona:

— Ko-ko-ko-ko-ko! Ku-ku!

Wszyscy zrozumieli, kto to taki idzie i jest już blisko. Naturalnie, że Pan, Monarcha, oświeciciel, żywiciel, dobroczyńca wszystkiego, co żyje: Helios! Słońce!

Na ten odgłos dopiero obudził się trzeci družba, Poślonek, wstrząsnął się, czmychnął, ziewnął, i otworzywszy swoje jedyne szafranowe oko, jak płaską tackę ku wschodowi je obrócił, z niepokojem dworaka szepcząc:

— Słońce! już! A gdzie? Jeszcze go niema! Ale piękna Aurora już się zjawiała! Bądź pozdrowiona, Auroro, pierwsza frejlino Pana naszego, i powiedz mi: czy zdrow i pogodny powstaje dziś z łoża? Ale ty sama, jakże świeża i świetna jesteś! Patrząc na cię...

— I tam dalej, i tam dalej. Tak się ten pochlebca w czołobitnościach i komplimentach dworskich pogrążył, że nie spostrzegając, jak piękna jego družka, Calla, z za kępy traw wyjrzała otwartym w pełni kielichem z białej porcelany, ani jak Weroniki, wierne przyrzeczeniu, śpiesznie z szafirowych oczu swych układały arabesk na kobiercu ślubnym, który u stóp państwa młodych Kurdybanek już rozpościerał, a Powoje w kielichy różowate i Groszki w szlaczki różnobarwne wyhaftowywać zaczynały. Obudziło się też i pospólstwo całe: babki, bylice, łopiany, szczawie, rdesty, lebiody, i jak to trafnie wczoraj przewidziały Wietrzyki, szeroko otwierając swe oczy, popychając się, poszturchując, jęło przyglądać się przygotowaniom do zabawy Pańskiej.

Ale ci, którzy byli przyczyną i bohaterami tej zabawy: Wiesiołek Oenothera i Malwa Alcea, ani przygotowań tych nie spostrzegali, ani pamiętali w tej chwili o dostojności

rodów swych i wysokiem swem położeniu w świecie. Gdyby teraz ktokolwiek Wiesiołkowi powiedział: „zostań łopianem!” Odrzekł-by: „dobrze, bylebym tylko serce Malwy mógł posiadać!” a Malwie: „stań się babką pękata” — odrzekła-by: „Owszem, byle-bym tylko Wiesiołkowi podobać się nie przestała!” Jego jasne, złote oczy tkwiły w jej oczach, na których różowość coraz głębszą występować poczęła wilgoć rosna. Patrząc na tę parę oblubieńców, tak tkliwie w sobie zakochaną, otaczający uczuli także cisnące się do oczu łzy; wszystkie Myozotisy i Weroniczki, wszystkie kielichy Mieczyka, korony Bodziszka, gwiazdy Epilobii, dostały bujnych drżących kropel, miała ich sporo na brzegach porcelanowa czara Calli, a koronkowa suknia Przytulii stała się od nich prawie zupełnie mokra. Nawet pospólstwo z rozczulenia płakać zaczęło; kwaskowate Szczawie, skłonne do łez, aż ociekały niemi, a gruby jakiś Ostromlec, z wielkiej czułości, wilgotną głowę skłonił na mokre łono przysadzistej Babki. Nawet Jaskier Łotr i kompani jego, Osty, płakały ale — ze złości. I jeden tylko Posłonek płakać ani myślał, bo całe życie jego, wszystkie struny istoty, skupiły się w próżnej ambicyi. Mały, trochę krzywy, z fantazyą trzymając się pod boki, szafranowe oko w Jutrzenkę wlepił i oczekiwał — słońca!

Niedługo już oczekiwał. Jutrzenka różane palce daleko po niebie wyciągnęła, a w tejże chwili kukulka ze szczytu drzewa krzyknęła:

— Ku... i urwała.

Z radości i uroczystego wzruszenia głos zamarł jej w gardle.

Wówczas... Co stało i dzieło się wówczas na łączce zaczęło, o tem pióro choćby najwymowniejsze, pędzel choćby najbarwniejszy, słabe tylko dać może wyobrażenie. Krótko mówiąc, było to jakieś olbrzymie »brio« tonów, barw, zapachów, blasków, w którem wszystko zapaliło się, zajaśniało, zabłyszczało, zapachniało, zaśpiewało...

Nad wstęgą jutrzienki ukazało się złote czoło słońca i rzuciło w świat pęki promieni, które odbiły się w łzach kwiatów i przemieniły je w perły i brylanty. Ponieważ zaś kwiaty były ze wzruszeń radośnych i tkliwych rozplakane bardzo, więc łez tych miały na sobie mnóstwo i zaświeciły teraz niemi, jak rozsypanym po kobiercu bajecznie wzorzystym, bajecznym skarbem Golkondy. Jednocześnie nad tym kobiercem, wyhaftowanym w kielichy Powojów, w szlaczki Groszków i Wyczek, w szafirowe arabeski Weroniczek, Biedrzeńce i Marchwie dzikie, najwyżej, jak tylko mogły, wzniosły baldachy białe, na srebrzystych pręcikach rozpięte, Jaskry zaświeciły tysiącem złotych lampek, Drżączki zadzwoniły brelokami, jak kryształami żyrandoli, Tomka wonna, dwie siostry Mięty i od skraju lasu Macierzanka, poczęły z całej siły wstrząsać kadzielnicami, z których rozplynęły się wonie słodkie i upajające.

A z woniami temi, w powietrzu coraz goręcej połączanem przez blask słoneczny, połączyły się dźwięki orkiestry, na brzegu lasu wybuchającej muzyką huczną, bardzo skomplikowaną i uczoną, a zarazem liryczną i rzewną. Było to Epitalamium, którego motywy główne od największego z kompozytorów ptasich, bo od samego Słowika zapożyczone, z umiejętnością rozwijały szczygły i czyże, podtrzymywały basowymi akordami: hu-hu! hu-hu! dudki i gołębie, klaskaniem w kastaniety urozmaicały czeczotki, a kosy i wilgi uświetniały przez wykonanie flażoletów tak subtelnych i czystych, że pozazdrościć-by ich mógł niejedyn mistrz gry skrzypcowej. Muzyka ta, wybuchając gwałtownie i napędzając łączkę niezmiernem bogactwem tryli, akordów, passaży i wijącej się pośród nich melodyi czarującej, tak wstrząsnęła nerwami Dmuchawców, że niektóre z nich, pory właściwej nie doczekawszy, puściły w powietrze rakiety z leciuchnych puszków, co widząc, Macierzanka, z uciechy wielkiej jeszcze silniej ametystową kadzielnicą zakołysała, a Wietrzyki z radości, że wszystko tak pięknie się udaje, zaczęły wykonywać napowietrzne, posuwiste tańce solowe. Zaraz je przecież przerwały i stanęły jak wryte, pomimo całej lekkości swej, powagą chwili zdjęte, bo oto z lasu, z pomiędzy rzadkich sosen, wyleciał motyl wielki, skrzydła nakrapiane purpurą szeroko rozwijał i ciężkim poważnym lotem w powietrzu płynął. Płynął ku parze oblubieńców, ku Wiesiołkowi naprzód o jasnych, wielkich oczach, który też wyprostował się, rzęsy wszystkich swych oczu ku motylowi zwrócił i wyglądał jak rycerz »sans peur ni reproche«, który przed niczem się nie trwoży, bo wie, co czyni, i ma zamiary szlachetne, czyste. Malwa zato zaczęła drzeć na wszystkich liściach i we wszystkich różowych oczach świecić perłami łez, a matka jej, Ślázówka podziła, rozplakała się tak rzewnie, że na widok ten oczy družek, družbów, gości weselnych,

nawet pospólstwa coraz więcej wzbierały łzami, tak, że po całej łączce brylantowe skarby Golkondy rozsypywały się coraz obficie, a muzyka grała coraz huczniej i rzewniej, a Dmuchawce już wszystkie rakiety puchowe w powietrze wyrzucały, lampki Jaskrów świeciły wprost olśniewająco, brzęczały żyrandole Drzączek, Kadzielnicy od wstrząsania kadzielnicami dech prawie tracili i — wielki motyl powietrzem płynął, powoli, ciężko, płynął ku oblubieńcom, za sobą wiodąc ruchliwy, wirujący rój motyli mniejszych, lżejszych, żółtawych, błękitnawych, liliowych, białych...

Wtedy-to stało się coś — okropnego!

Kukułka, która ze szczytu drzewa przypatrywała się uroczystości i zarazem rozglądała się po świecie, przeraźliwie, z trwogą niewysłowioną, z przerażeniem niezmiennym, krzyknęła:

— Ku...

I urwała. Od trwogi i przerażenia dech zamarł jej w piersi. Uczyniła jednak wysilenie i z taką mocą, że głosem orkiestrę przeniosła, z taką grozą, że wszystko, co żyło, dokoła zadrżało, bez taktu już ani rytmu, jak szalona, jak obłąkana, krzyczeć zaczęła:

— Ku-ku ku-ku-ku-ku-ku-ku!

— Co? co? — krzyknęły naraz wszystkie kwiaty i Wietrzyki, motyle zaś jak martwe zawisły w powietrzu i jedni tylko grajkowie, w zaciekłości muzycznej nic nie słysząc, grali dalej.

Kukułka ze szczytu drzewa krzyczała:

— Śmierć idzie! Śmierć idzie! Śmierć idzie! Śmierć idzie!

Śmierć! Jaka śmierć? Co to takiego śmierć? Po co? dla kogo? dlaczego? Na zabawę weselną idzie śmierć? Przychodzi teraz, w tej chwili, gdy na świecie tak jasno, pięknie, wesoło, błogo. To być nie może! To wieść fałszywa! kłamie kukułka! Powiesić kukułkę! Za zamącenie uciechy publicznej, za złe pełnienie urzędu jej powierzonego, za zepsucie najświetniejszej z biesiad weselnych, powiesić kukułkę!

Wówczas rozległ się po łączce śmiech jadowity, szyderski, prawie szatański, wychodzący z poplamionych rdzą zawiści warg Jaskra-Łotra, który też wszystkie swoje krzywe palce ku otworowi kotliny wyciągnął, coś, czego inni nie widzieli, ukazując. On widział to, co ogłaszała kukułka, wiedział również, że sam za chwilę umrze, lecz śmiał się z radością piekielną, bo z nim razem umrą ci, którym tak dobrze na świecie i których nienawidzi. Krzywymi palcami na otwór Kotliny wskazując, głosem przez śmiech przerywanym wołał:

— Spójrzcie! tam spójrzcie! Cha, cha, cha! Oto są wesela i miłości wasze! Trwale są, bezpieczne, wieczne, nieprawdaż? Cha, cha, cha, cha! Oto zachód, kłopoty, sprzeczki, muzyczki, stroiki, popisy i iluminacje wasze! Brzdęk! i już niema! Brzdęk! i już koniec! Cha, cha, cha, cha!

Wszystko, co na łączce cudnemi oczyma kwitło, brylantami jaśniało, koronki kunsztowne rozwijały, pachniało, kochało, cieszyło się życiem — zwróciło spojrzenia w kierunku przez Sceleratusa wskazanym i omdlałymi głosami zaszepotało: Śmierć!

W otworze kotliny, jak w bramie rozwartej na pole i drogę polną, stał chłop w białej koszuli, ze stopami nagiemi, a nad zmiętą czapką, która okrywała mu głowę, wysoko w powietrzu, ostrym i zimnym połyskiem stali świeciła kosa.

... W kilka minut potem, z orkiestry ptasiej żaden już dźwięk nie pozostał w powietrzu, zdjętą głęboką ciszą. Tylko kukułka, kędyś daleko, daleko odzywała się tonem żalonym i Wietrzyki, do mchów leśnych przypadłszy, cicho łkały. A w kotlinie pomiędzy pagórkami, wśród milczenia powietrza i ziemi, kosa śmierci sama jedna głucho dzwoniła:

— Czach-czach! Czach-czach!

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/wesele-wiesiolka/>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Chwile*, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1901.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0656-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).